Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 11 (2015)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Władysław Bartoszewski in memoriam

Michał Komar

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.462
Strony/Pages: 23-29

CC BY

OPEN ACCESS

WŁADYSŁAW BARTOSZEWSKI

(1922–2015)

Najpierw słowo o lekcji ekonomiki przeżycia, jakiej pół wieku temu udzielił mi człowiek doświadczony. Pisząc o doświadczeniu, mam na myśli udział w konspiracji w latach 1939–1942, aresztowanie przez Gestapo, utratę zębów, pobyt w Auschwitz, Dachau i Sachsenhausen ze wszystkimi tego konsekwencjami. Mówił tak: Skoro pytasz o ratowanie ludzi, to pamiętaj, że można było za to dostać kulę albo znaleźć się w obozie. Podobnie ze szmuglem rąbanki. Z tym że schabowego chciał zjeść każdy, a ratować Żyda – raczej nie. To sprawa delikatna, bo na początku jest groźba śmierci i strach. Sprawa decyzji. Należy rozważyć okoliczność jej podjęcia. I tyle.

Mając to w pamięci, nie będę dociekał, domniemywał i interpretował. Przedstawiam notatki z trwających ponad dziesięć lat rozmów z Władysławem Bartoszewskim. Mówił tak:

…Zostałem pracownikiem Przychodni nr 1, która mieściła się na parterze niewielkiego domu przy ulicy Hozjusza, obok kościoła św. Stanisława Kostki. W kilkupokojowym mieszkaniu lekarka dr Ochnicz-Czerniewska i pielęgniarka, siostra Maria, przyjmowały ubogich, chorych, rannych żołnierzy, wszystkich, komu potrzebna była pomoc medyczna. Porada kosztowała 1 zł. Pełniłem

funkcje intendenta, księgowego, gońca i woźnego. Obie panie, znacznie ode mnie starsze, traktowały mnie, osiemnastolatka, z wielką życzliwością i nie bez matczynego rozczulenia. Uposażenie było skromne. Mogłem za nie kupić nie więcej niż trzy kilogramy tłuszczu, ale czułem, że robię coś sensownego, a to bardzo dużo. No i od 1 maja 1940 r. miałem legitymację Polskiego Czerwonego Krzyża, wystawioną w języku polskim i niemieckim, z fotografią, pieczątką i podpisami zarządu – honorowaną w czasie policyjnych kontroli ulicznych. […] Wygarnięto mnie 19 września o świcie, przed godziną policyjną. Matka obudziła mnie, zaniepokojona dużą liczbą Niemców na ulicy. Uważałem, że mama niepotrzebnie panikuje. Po chwili do mieszkania wtargnęli panowie w żelaznych melonikach, tak wtedy mówiło się na hełmy, i nie zwracając uwagi na matkę, wrzasnęli w moim kierunku: Aufstehen! Mitkommen! Wstałem. Matka kazała mi wziąć jesionkę, choć było ciepło. Na podwórzu stali sąsiedzi, z naszego domu wyprowadzono chyba ze trzydziestu. Pod eskortą doszliśmy do placu Wilsona, gdzie stały ciężarówki SS. Tam sprawdzili nam dokumenty. Pracownikom elektrowni, gazowni i wodociągów kazano iść precz, czyli do domów, reszta na budy. Jechaliśmy ulicami Warszawy. Przechodnie idący do pracy z lękiem patrzyli na konwój, niektórzy odwracali głowy. Ciężarówki wjechały na teren koszar SS Reiterregiment Warschau. Zostaliśmy osadzeni w hali maneżu. Mówiąc dokładniej, kazano nam położyć się na zalegających podłogę maneżu suchych końskich odchodach. W hali było ponad tysiąc Polaków, pilnowanych przez dwóch podoficerów niemieckiej Służby Bezpieczeństwa (SD). Jeden z nich ustawił na stoliku ręczny karabin maszynowy i co jakiś czas puszczał serię nad naszymi głowami. Po jakimś czasie pozwolili nam usiąść, dali nawet kubły z wodą. Minęło kilkanaście godzin. Ustawiono nas w kolejkach do stolików, przy których siedzieli oficerowie i umundurowane maszynistki. Rozpoczęło się dokładne sprawdzanie dokumentów. Okazało się jednak, że Polski Czerwony Krzyż albo z niewiedzy – bo na pewno nie ze złej woli – albo z powodu zmieniających się przepisów nie zadbał o to, żeby na legitymacjach były dodatkowe pieczęcie niemieckie, tak zwane wrony albo gapy. W oczach oficera dokument bez niemieckiego orła nie miał żadnej wartości. Zostałem uznany za bezrobotnego.

Bezrobotny – czyli zbędny, niepotrzebny niemieckiej gospodarce w Warszawie. Pewnie mnie gdzieś wywiozą. I sprawdziło się. Po trzydziestu sześciu godzinach zawieziono nas na bocznicę kolejową przy ulicy Towarowej. Ciężarówki podjechały w taki sposób, że otwarte klapy bud dotykały wejścia do wagonów, które potocznie nazywa się bydlęcymi. Wrzaski: Los! Los! Schnell! Raus! Popychani przeskoczyliśmy do wnętrza wagonu. Trzask zamykanych drzwi. Ciemno, bo przecież noc. Słychać szczekanie psów, huk wystrzałów, wrzaski Niemców, warkot silników następnych bud, szczęk zatrzaskiwanych drzwi wagonów, znów wrzaski. To trwało. W końcu nadszedł infernalny świt. Pociąg ruszył […].

Strach. Niepokój. Znaleźliśmy się w dzikich warunkach. Czterdzieści, może pięćdziesiąt osób w wagonie, część musi stać. Brak wody. Potrzeby fizjologiczne? Pod siebie. Nie wiadomo, jak długo będziemy jechać. Nie wiadomo dokąd.

Do ciężarówek wywoływano według listy alfabetycznej. Nasz wagon obejmował nazwiska od A do C. Jechałem z panem Adamskim, panem Bronikowskim, panem Bauerercem, panem Czaplickim. Ale pociąg był długi. Aż do litery Z, a nawet jeszcze dłuższy, bo jak się potem okazało, były tam wagony z więźniami politycznymi z Pawiaka, którzy mieli za sobą tygodnie albo miesiące przesłuchań na Szucha.

Pociąg stawał na bocznicach. W Poraju pod Częstochową dano nam kilka kubłów wody. Poraj był stacją na granicy Generalnego Gubernatorstwa i Rzeszy. Uznaliśmy, że wiozą nas na Śląsk, do pracy w przemyśle. I odczuliśmy ulgę. W końcu pociąg się zatrzymał. Był późny wieczór, przed północą. Szczekanie psów. Wrzaski. Ostre światło reflektorów ustawionych na samochodach. Los! Los! Raus! Schnell! Esesman wskakuje do wagonu i zaczyna bić ludzi kolbą karabinu. Instynktownie pojmujemy ich oczekiwania. Wagon stoi na wysokiej rampie. Trzeba skakać. Niektórzy przewracają się, kaleczą. Ustawieni w trójkową kolumnę, ruszamy w kierunku zabudowań, nad którymi góruje wysoki dymiący komin. I znów uczucie ulgi. To pewnie jakaś fabryka. Przechodzimy przez bramę, na której widnieje napis „Arbeit macht frei". Praca czyni wolnym. To brzmiało jak zachęta. A więc skoszarowany obóz pracy. Zostaliśmy podzieleni na grupy liczące około trzystu osób. Przespałem parę godzin w bloku X, dokładniej zaś Xa, na pierwszym piętrze. Wczesnym rankiem obudził nas wrzask. Po chwili stanęliśmy na placu apelowym.

Pięć tysięcy więźniów stojących na baczność. Grupa esesmanów. Baraki. Komin, który okazał się kominem krematorium nr 1. Szalejący kapo. Trzydziestu, może czterdziestu. To byli prawie wyłącznie Niemcy. Jeden z nich – o czym dowiedziałem się później – był więźniem politycznym, reszta wielokrotnymi mordercami, gwałcicielami, których skierowano do obozu z obietnicą ułaskawienia za dobre sprawowanie. To znaczy za gorliwe wykonywanie rozkazów SS. Przywieziono ich z Sachsenhausen i Dachau. Stado dzikich zwierząt. Byli gorsi od esesmanów, bo ci – w białych rękawiczkach – tylko obserwowali. W pierwszym momencie to nawet wyglądało na jakiś cyrk, ci wrzeszczący, miotający się faceci w prążkowanych ubraniach, w beretach z trójkątami. Ale po chwili zobaczyliśmy, jak wyciągają z szeregu jakiegoś mężczyznę, biją go pałkami, katują. Upadł. Zaczęli go deptać. A my staliśmy na baczność, bez słowa, z niewidzącymi oczyma […]

Przez pierwsze dni niektórzy z nas żyli nadzieją rychłego zwolnienia. Skoro zostaliśmy uwięzieni niejako przez przypadek, to – logicznie rzecz biorąc – jesteśmy kimś w rodzaju zakładników. To tylko rodzaj ostrzeżenia, po którym wyjdziemy na wolność. Nadzieja bezpodstawna, choć wzmocniona faktem uwolnienia po 13 października 1940 r. dziesiątków osób z transportów warszawskich w wyniku skutecznych interwencji różnych instytucji niemieckich, przedsiębiorstw i, być może, pośredników wręczających łapówki […].

Tąpnięcie nastąpiło 28 października. Tąpnięcie fizyczne i psychiczne. Zaginął wtedy jeden z więźniów. W odwecie zapędzono nas na plac. Apel karny trwał

kilkadziesiąt godzin. Staliśmy w chłodzie, na deszczu. Ludzie padali, nikt ich nie ratował, więc umierali. Trzeba było stać na baczność, nieruchomo, żeby przeżyć. Ten apel opisał Jerzy Andrzejewski w swoim słynnym opowiadaniu, na podstawie relacji, ale talent pisarza i jego rozumienie ludzkiej kondycji sprawiły, że gdy sięgam po jego tekst, to nie mogę uwierzyć, że został napisany przez kogoś, kto nie był w obozie i nie przeżył tamtych wydarzeń. Apel kosztował życie stu kilkudziesięciu osób. Ja wiem, że sto kilkadziesiąt osób w porównaniu z infernalnymi danymi statystycznymi drugiej wojny światowej brzmi dosyć niewinnie. Ale sto kilkadziesiąt osób na pięć tysięcy stojących na placu apelowym… Nie zostali zatłuczeni, nie zostali zastrzeleni. Po prostu umarli. Byłem chudy, wątły, niedożywiony, umęczony pracą […].

12 grudnia w czasie pracy przy czyszczeniu cegieł straciłem przytomność. No cóż, w tych warunkach normalne. Byłem wycieńczony, pokaleczony, zbolały. To zgodne z normą oświęcimską. Tak jak normalne byłoby, gdybym zginął pod uderzeniem pałki albo od przydeptania gardła butem kapo. Dziwną rzeczą było, że więźniowie zanieśli mnie do Krankenbau i położyli przy schodach. Nie mogli zrobić nic więcej, bo musieli natychmiast wrócić do pracy. Uratowali mi życie […].

Nie miałem siły, by unieść powieki. Usłyszałem dialog prowadzony po polsku, niepewny, czy śnię, czy jestem na jawie. Głos I: – Bierzemy go? Głos II: – Nie, już nie ma po co! Wtedy chyba poruszyłem głową, a może otworzyłem oczy. Głos I: – A ty kto jesteś? Ja: – Maturzysta, student. Głos I: Skąd? Ja: – Z Warszawy. Głos I: Ojciec kto? Ja: – Urzędnik bankowy. Wtedy słyszę: – Inteligent! Weźmy go! Potem słowa, których nie pamiętam, i znów głos I, ten dla mnie życzliwy, dobry: – Może przeżyje… może będzie wiedział… Straciłem przytomność.

Obudziłem się spocony, brudny. Obok mnie leżał bez ruchu jakiś więzień. Łóżko metalowe, trzypiętrowe, wąskie, z cienkim, niezmienianym od dawna siennikiem. Okazało się, że byłem nieprzytomny dziesięć dni. W tym czasie koledzy karmili mnie, przenosili na kibel, myli…

Nastał Wielki Tydzień. We wtorek 8 kwietnia stanąłem przed lekarzami. Powiedzieli mi półszeptem, że za chwilę przyjdzie lekarz Niemiec, będzie pytał o mój stan zdrowia: – Masz odpowiadać, że nic ci nie dolega. – Ale przecież… – zaprotestowałem. Oni na to: – Jesteś zdrowy. Tak masz odpowiadać. Przypudrowali mi wrzody, czymś tam jeszcze posmarowali. Pojawił się lekarz w fartuchu, spod którego wystawał mundur. Lekarze Polacy zaczęli zadawać pytania po niemiecku: – Czy jesteś zdrów? Odpowiadam, że tak. Jestem trochę osłabiony, bo byłem długo w szpitalu, może trochę za długo. Pokiwali głowami. – Czy jesteś gotów do normalnej pracy? Odpowiedziałem, że tak, jestem gotów…

Byłem zdezorientowany. Co mnie czeka? A czy miałem jakiś wybór? Żadnego. Zresztą wkrótce zaprowadzono mnie do głównej kancelarii obozu. Otrzymałem do podpisania drukowaną deklarację, że nie mam żadnych pretensji ani roszczeń do władz obozu, czuję się zdrowy i przyjmuję do wiadomości, że wszelkie działania przeciw Rzeszy będą surowo karane. Wedle wszelkiego prawdopodo-

bieństwa był to formularz stosowany w Niemczech przed wojną w stosunku do więźniów w Dachau czy Sachsenhausen, komunistów, socjaldemokratów, którzy często po paru miesiącach znów byli wysyłani do kacetów. Dostałem zaświadczenie zwolnienia z obozu, Entlassungsschein, z nakazem zgłoszenia się po przyjeździe do Warszawy w siedzibie Gestapo w alei Szucha.

Na peronie ludzie trzymali się od nas z daleka. Przestraszeni. W naszym przedziale były dwie nastolatki. Jedna z nich zapytała, czy jesteśmy z obozu. – Może… Wyjęła kanapkę z serem. Powiedziałem, że dziękuję, ale to przecież na pewno żywność z kartek… – Nie, nie, proszę nie odmawiać. Podzieliliśmy kanapkę na cztery części, zjedliśmy. W Katowicach weszliśmy do bufetu. Na nasz widok kelner mówi: – Nür für Deutsche! Ale skąd jesteście? – Z obozu! Zaprowadził nas do korytarza kuchennego, przyniósł herbatę. Wreszcie coś ciepłego do picia […].

Przyjechaliśmy na Dworzec Główny. Był wieczór, tuż przed godziną policyjną. Dorożkarz nie chciał jechać na ulicę Słowackiego. Za daleko. Mówię: Panie, jestem z obozu, z Oświęcimia, muszę jechać do matki. Ruszył w stronę Wisły. Zdziwiłem się. Wyjaśnił mi, że woli jechać łukiem, żeby ominąć getto. Tam już stał mur strzeżony przez Niemców i policję.

A co do poranka… Nie mogłem wstać. Byłem wyczerpany. Zbolały. Rodzina zawiozła mnie dorożką w pobliże alei Szucha, miałem przecież zameldować się w Gestapo. Przyjęto mnie bardzo grzecznie. – Proszę siadać! Szokujące wrażenie w porównaniu z tym, jak byłem traktowany niespełna dwa dni temu. Podoficer przybił jakąś pieczątkę, coś zapisał, przekazał papiery tłumaczowi, który pyta: – Jak pan się czuje? A czułem się okropnie, półprzytomny. – Jestem trochę zmęczony – odpowiedziałem. – Czy pan zgłasza jakieś zażalenia? Mówię, że w obozie dano mi do podpisu stosowne oświadczenie. – No to w porządku. Gdyby były jakiekolwiek problemy, proszę nas poinformować. Niech pan idzie drogą przepisaną przez prawo i zgłosi się do Arbeitsamtu.

Rodzina czekała na mnie przy placu Unii Lubelskiej. Z siedziby Gestapo musiałem przejść kilkaset metrów. Do domu wróciliśmy dorożką. Położyłem się do łóżka. Na półtora miesiąca.

Jeden z lekarzy obozowych zdążył podać mi nazwisko dobrego dermatologa w Warszawie. Doktor Wacław Bernhard, brat profesora Roberta Bernharda, ordynatora u św. Łazarza, mieszkał przy Miodowej. Matka zatelefonowała do niego. Powiedział, że nie składa wizyt domowych. A matka, jak to kobieta w rozterce, powiada, że jest w beznadziejnej sytuacji, musi pracować, nie może zająć się synem, który właśnie wrócił z Oświęcimia. Na to doktor Bernhard zapytał o adres. Zjawił się niebawem, obejrzał mnie i zapłakał. Widziałem łzy. Proces leczenia był długi. Trzeba było stosować autoszczepionkę. Byłem zainfekowany gronkowcem. Doktor Bernhard leczył mnie bezpłatnie. Zastrzyki i masaże robiła mi – też bezinteresownie – sąsiadka, pani Stanisława Popławska, zawodowa pielęgniarka. Wiadomość o moim powrocie wzbudziła spore zainteresowanie wśród sąsiadów. Z naszego domu liczącego siedemdziesiąt mieszkań wywieziono do Auschwitz czternastu mężczyzn. Czterech wróciło.

Sąsiadka, moja rówieśnica, Hania Czaki, znałem ją tylko przelotnie, na podwórku mówiło się: Cześć! – Cześć!, no, tyle. Dowiedziawszy się, że jestem chory, przyszła do mojej matki, oferując pomoc. Mówię o niej z ogromnym wzruszeniem. Nie przeżyła wojny. Zginęła męczeńsko w 1944 r. – torturowana przez Gestapo, nie wydała tajemnic organizacyjnych. Była harcerką, absolwentką żoliborskiego liceum Aleksandry Piłsudskiej, studentką socjologii na tajnym uniwersytecie. Jednocześnie zaś – o czym dowiedziałem się później – była osobistą sekretarką i łączniczką kierownika Wydziału Informacji w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej, później Armii Krajowej, inżyniera Jerzego Makowieckiego „Tomasza". Była bardzo powściągliwa. Zachowywała ścisłe reguły konspiracji, ja zaś nie zadawałem pytań. Przynosiła mi prasę podziemną, rozmawialiśmy, aż pewnego dnia zeszło na moje doświadczenia obozowe. Zaczęła przynosić malutką maszynę do pisania. Trzymała ją na kolanach, ja dyktowałem. Hanka zadawała dodatkowe pytania. Relacja była gotowa latem 1941 r. Minęło kilkanaście miesięcy. Wiosną 1942 r., na Wielkanoc, dostałem od Hanki powielaną broszurę *Oświęcim. Pamiętnik więźnia*, wydaną przez Kopr. Pytam, kto to taki. Hanka odpowiada ogólnikowo, że jakaś grupa ludzi utworzyła komisję zajmującą się dokumentacją. Wstęp do broszury wyjaśniał, że pamiętnik został znaleziony wśród notatek młodego człowieka, który przypadkowo znalazł się w Oświęcimiu, zachorował i zmarł. Hanka mówi: – Przeczytaj! Mówiliśmy sobie na ty, co wtedy jeszcze nie było powszechne w relacjach koleżeńskich. Czytam i widzę, że tekst jakoś znajomy. Mój tekst, z wstawionymi tu i ówdzie zdaniami, ze scenkami inaczej przeze mnie opowiedzianymi. Więc następnego dnia: – To jest to, co zapisałaś. A ona mówi: – No, powiedzmy, że w pewnym stopniu… Może ktoś przeczytał tamtą relację i na jej podstawie… […].

Wciąż czułem na sobie ciężar nie do uniesienia. Chyba coraz większy… Z poczucia obowiązku odwiedziłem kilka rodzin więźniów, którzy zginęli w obozie. Moja szczerość spotykała się z niechęcią, z niewiarą, z podejrzliwością. – Co pan opowiada, przecież mój mąż był w chwili zatrzymania okazem zdrowia! A ja wiedziałem, że odbito mu nerki, żonie zaś wysłano depeszę, że zmarł wskutek uremii. Takie spotkania były wyjątkowo bolesne. Przychodziłem w najlepszych intencjach, nie bez ryzyka, bo przed wyjściem z obozu podpisałem deklarację milczenia. To był dla mnie straszny okres. Złapałem się na tym, że słysząc stuk podkutych butów, wtulam głowę w ramiona, w oczekiwaniu na uderzenie. Odruch warunkowy. Zauważyli to moi koledzy ze studiów, bo jesienią 1941 r. zacząłem studiować na tajnym uniwersytecie, więc koleżanki i koledzy zauważyli ten odruch, o hańbo! on ma jakieś lęki!

Wyzwolenie przyszło latem 1942 r. Trafiłem wtedy na człowieka, który odegrał zasadniczą rolę w moim życiu. Niezwykłego człowieka. Ksiądz Jan Zieja liczył sobie wówczas czterdzieści kilka lat. Miał szczupłą, ascetyczną twarz, wysokie, lekko łysiejące czoło i spojrzenie kogoś, kto przebywając w naszym, doczesnym świecie jest jednocześnie obecny w świecie wartości wiecznych. Odbyłem u niego spowiedź. Uprzytomnił mi to, co teoretycznie powinienem był

rozumieć sam z siebie, że skoro przeżyłem i jestem na wolności, to mam nad innymi przewagę wiedzy o złu tego świata, a jednocześnie – tym większy spada na mnie obowiązek. – Bóg chciał, żebyś przeżył, po co? – jak myślisz? – mówił. – Nie po to, żebyś się nad sobą litował, ale po to, żebyś był świadkiem prawdy. Żebyś wiedząc, że istnieje tak straszne zło, upewnił się, że musi istnieć dobro. Są wokół nas ludzie nieszczęśliwi, cierpiący. Trzeba im pomóc! Więc ja, pamiętam, dość naiwnie zapytałem przy konfesjonale: – Ojcze, ale kim ja jestem? Nie mam pieniędzy, znajomości i wpływów… Jak znajdę tych ludzi? Odpowiedział: – Sami do ciebie przyjdą, tylko nie schodź im z drogi. Otwórz oczy. Rozejrzyj się wokół. Czy wiesz, co dzieje się w getcie? A w getcie dziesiątki tysięcy ludzi umierały wtedy od głodu i tyfusu. Odpowiedziałem, że wiem, mam nawet jakieś kontakty. – Dobrze – powiedział. To było u urszulanek szarych, gdzie ksiądz Zieja mieszkał aż do śmierci […]. Po latach emisariusz Jur opisał mnie we wspomnieniach jako „działacza filosemickiego i katolickiego filantropa". Czy jestem filosemitą? A czy gdybym pomagał w ratowaniu skazanych na zagładę Greków, musiałbym koniecznie być grekofilem? Nigdy nie dzieliłem ludzi wedle pochodzenia czy wyznawanej religii. Czy byłem filantropem? Czy jestem filantropem? φιλανθρώπως, filantropos – ten, co kocha ludzi! Czy kochałem ludzi? Przecież w obozie oświęcimskim, a potem w Warszawie, w trakcie likwidacji getta i jeszcze potem, widziałem i wiedziałem, do jak strasznych czynów człowiek jest zdolny, jak łatwo wyzbywa się elementarnych zasad człowieczeństwa. Ja wiem, że Jur chciał dobrze – chciał w możliwie najbardziej precyzyjny sposób wyjaśnić czytelnikom istotę naszej działalności, ale czy znalazł słowo właściwe? Dziś myślę, że starając się ratować innych, ratowałem samego siebie. Przed czym? Przed pokusą zła. Przed zatratą. A takie działanie – wedle mojej wiary, wedle Kazania na górze – wypełnia się treścią, gdy dotyczy bliźnich, tych zagrożonych, tych w nieszczęściu, tych skazanych. „Zbrodnią jest reagować na nieszczęście dopiero wtedy, gdy się samemu zostanie zagrożonym". To zdanie z mojego tekstu opublikowanego w konspiracyjnej „Prawdzie Młodych" w 1943 r. jest odbiciem słów księdza Jana Ziei… Bo wtedy, w czasie spowiedzi, byłem w strasznym stanie psychicznym: dwudziestojednoletni Bartoszewski wciąż miał przed oczyma osiemnastoletniego Bartoszewskiego stojącego przez kilkadziesiąt godzin na apelu karnym w obozie oświęcimskim, miał przed oczyma swoją śmierć… dana mi została możliwość bycia świadkiem prawdy. A właśnie latem 1942 r. rozpoczęła się likwidacja getta warszawskiego… Tak wybrałem.

Tyle o Władysławie Bartoszewskim. I o cnocie męstwa, cnocie, która wymyka się wszelkim teoriom, domysłom, domniemaniom i interpretacjom.

Michał Komar